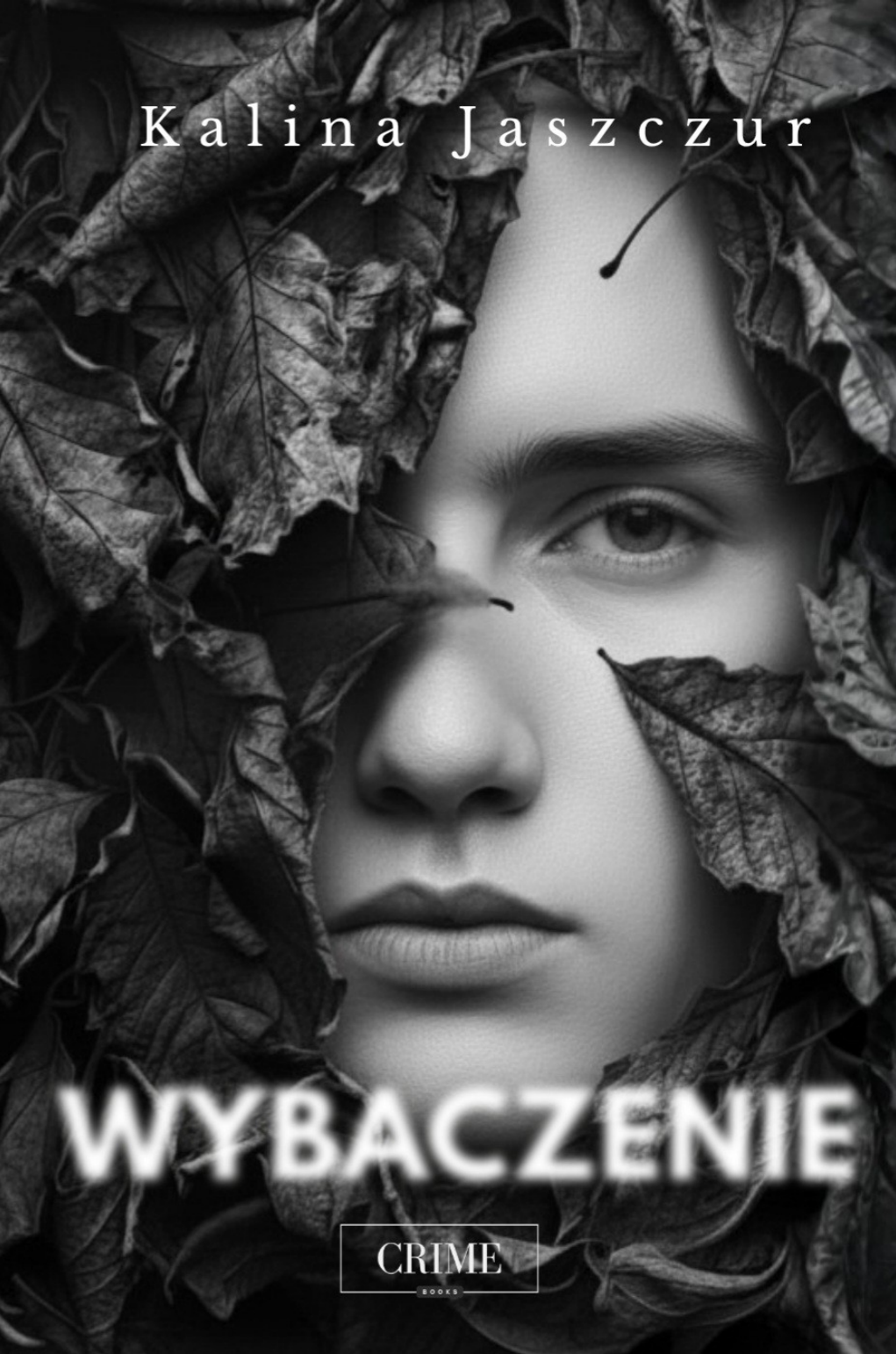




Kalina Jaszczur

WYBACZENIE

CRIME

BOOKS

Kalina Jaszczur

WYBACZENIE

CRIME

— BOOKS —

*Dla tych, którzy wybacząc innym,
uwolnili przede wszystkim siebie.*

*Wybaczyć może tylko ten,
kto potrafi zabić własny gniew.*

PROLOG

Blade światło październikowego księżyca przebijało się między gęstymi koronami drzew, jakby próbowało rozszarpać je swoim blaskiem. Las jednak tonął w ciemnościach, nie dając mu szans. Jesień w tym roku nie miała litości, była chłodna i wilgotna. Temperatura spadła do około dwóch stopni Celsjusza. Zgniłe liście pod stopami miały konsystencję mokrego papieru, a błoto wypełniało koleiny leśnej ścieżki i pochłaniało ślady jego ciężkich kroków. Ciszę lasu zakłócały tylko pojedyncze dźwięki: ciche kapanie wilgoci z gałęzi, odgłosy wleczenia czegoś po liściach i jego ciężki oddech.

Ubrał się odpowiednio do warunków – w czarny wodoodporny trekkingowy strój bez widocznych logo. Buty turystyczne popularnej marki zamówił w większym rozmiarze, niż zwykle nosił. Na głowie miał kominiarkę do biegania, czołówkę i czarną czapkę z daszkiem. Całości dopełniały plecak i podwójne rękawiczki. Wyglądał jak typowy turysta, nie rzucał się w oczy. Wszystko zamówił przez internet w jakimś przypadkowym sklepie, podając fałszywe dane. Był dobrze przygotowany do tego, co zaplanował.

Mgła sączyła się z drzew niczym śluz – gęsta i lepka. Mokry las pachniał zapomnieniem. Słodkawa, wręcz mdła mieszanina woni gnijących liści i nasiąkniętego mchu atakowała nozdrza. Przypominała zapach piwnicy lub starego, zatęchłego grobu. To miejsce cuchnęło czymś, co stanowiło już tylko wspomnienie życia.

Zmęczony wędrówką przystanął i obrócił się za siebie. Powiedział wkoło czujnym wzrokiem. Szlak turystyczny wciąż był stąd dobrze widoczny. Spojrzał w stronę lasu. *Jeszcze kawalek* – pomyślał.

Uklęknął przy jej głowie; stopy grzęzły w błocie prawie po kostki, liście przyklejały się do butów. Wsunął dłonie pod jej pachy i zacisnął tuż przy barkach, wbijając palce w skórę. Szarpnął i ruszył w głąb lasu. Powoli, krok po kroku, stawiając nogi szeroko. Jego ruchy były pewne i spokojne. Ciężkie przez swą bezwładność ciało sunęło po wilgotnym poszyciu. Podskakiwało na wystających korzeniach drzew, łamało gałęzie z cichym trzaskiem. Las zdawał się jęczeć pod jego naporem.

Z każdym kolejnym rytmicznym pociągnięciem sapał coraz bardziej. Kilka razy musiał przystanąć, by poprawić chwyt. To wszystko kosztowało go sporo wysiłku. Jeszcze tylko jedno szarpnięcie... głuchoe tarcie, a zaraz po nim mokre mlaśnięcie prześlaskniętych wodą liści.

Wziął głęboki oddech i ponownie się rozejrzał. Idealne miejsce. Nie trzeba zbaczać ze szlaku, aby je dojrzeć.

Zdjął plecak i stanął nad nią. Przez chwilę po prostu się przyglądał. Była naga, blada. Leżała przed nim zupełnie bezradna z nienaturalnie wykręconą głową. Poprawił ją. Skóra na twarzy była matowa. Zmarszczki na czole i wokół ust straciły znamiona ekspresji, stały się nieodwracalnie zastygłymi bruzdami. Ramiona, zaczerwienione i miejscami obrzęknięte, nosiły ślady jego palców. Sutki stwardniały z zimna i poszarzały. Cała była brudna od błota, resztek runa i liści, zupełnie jakby las próbował ją wchłoniąć. Skórę miała pokaleczoną, pełną zadrapań i rozcięć. Z ran sączyła się świeża krew; szczególnie uda nosiły liczne czerwone pręgi.

Oczyścił jej pachwiny z nadmiaru błota. Uniósł ją nieco i oparł o pień drzewa w pozycji pólśiedzącej. Teraz była gotowa. To

był moment, na który czekał, wypracowany w ciszy i skupieniu. Tłumione gniew i bezsilność w końcu znajdowały ujście. Musiał jej to odebrać.

Gdy spadły pierwsze krople deszczu, zaczął działać. Włączył turystyczną czołówkę ukrytą pod czapkę; czerwone diody idealnie sprawdzały się po zmroku, były dyskretniejsze i z daleka mniej widoczne. Latarka dawała miękką poświatę dodatkowo przytłumioną przez daszek. Światło nie było ostre, ale w wystarczającym stopniu spełniało swoje zadanie. Wyjął z plecaka nożyczki i przystąpił do strzyżenia jej rozczochranych, posklejanych od błota włosów. W rękawiczkach nie było mu wygodnie, czuł, że jego ruchy są niezgrabne, to jednak nie miało znaczenia. Ostrzygł ją prawie przy samej skórze. Włosy, wyrwane i poszarpane, walały się na poszyciu jak oślizgłe czarne robaki. Cięcie było nierówne, wykonane na szybko, w ekstazie. Gdy skończył, wytarł ostrze o spodnie i schował nożyczki do plecaka.

Teraz najważniejsze – oczy. Jeżeli to prawda, co mówią, że są zwierciadłem duszy, to ona jej nie miała. Nienawidził tego spojrzenia pełnego rozczarowania i pogardy. Przycisnął do nich kciuki. Sprężyste gałki początkowo opierały się, ale gdy wraził palce głębiej, brutalniej, coś cicho chlupnęło. Subtelne, mokre mlaśnięcie. Prawe oko pękło. Wyłynęła z niego szklista ciecz. Oczodół stał się miękki, zapadnięty. Lewe przemieściło się częściowo w głąb czaszki. Sięgnął po ostrze. Krew trysnęła cienką strużką, rozpryskując się na zgniłe paprocie. Następnie wydłubał obie gałki, ciepłe, wilgotne, i odrzucił je na bok, w las. Nie były mu potrzebne. Zostawił puste jamy, ciemne i pełne krwi.

Teraz, w symbolicznym geście uciszenia, zamierzał wyrwać jej język. Wsunął palce w usta kobiety i rozchylił szczękę. Nie była napięta, nie stawiała oporu, poddała się temu, co nieuniknione. Ostrze weszło pod język i przecięło mięśnie. Kawalek krwistego

mięsa, ciężki, choć miękki, wciąż zdawał się drgać w drobniutkich mikroskurczach. Przez chwilę trzymał go w ręku jak trofeum. Potem się podniósł, zamachnął i cisnął nim przed siebie z nieskrywaną satysfakcją. Zawsze mówiła za dużo.

Spojrzał na nią z góry. Strumień krwi zalewał gwałtownie jej gardło, raz po raz chlustał z ust w pulsacyjnym rytmie. Żywa i ciemna posoka rozlewała się po jej brodzie i szyi, spływając w dół. Zabrał się za skórowanie twarzy. Zaczął od nacięcia wokół linii włosów, tuż za uszami. Starał się prowadzić ostrze precyzyjnie, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Skóra zrobiła się śliska od deszczu. Rozciął ją od skroni po żuchwę, obdarł powoli, jakby zdejmował ciasną maskę. Milimetr po milimetrze. Schodziła, odsłaniając chaotyczny krajobraz mięśni, ścięgien i naczyń. Czerwonych, lśniących. Myślał, że to będzie prostsze, że stał będzie sunęła gładko, tymczasem musiał wykonywać energiczne, szarpane ruchy. Przy oczodołach miał mały problem. Ostatecznie zostawił puste, zapadnięte doły, ciemne i głębokie, otoczone resztkami poszarpanej skóry. Najgorszy do oskórowania był jednak nos. Starał się dokładnie zdjąć delikatną skórę, ale ta się rozrywała. Za to usunięcie warg poszło całkiem sprawnie. Bardzo mocno krwawiły, ale poradził sobie z tym. Mięśnie mimiczne bez ochronnej warstwy skóry wyglądały jak wilgotne, żywe włókna. Cięcie zakończył na podbródku, zostawiając płaty skóry jeszcze częściowo przytwierdzone od dołu.

Cała twarz była makabryczną mozaiką odsłoniętych tkanek, poszarpanych brzegów i strumieni posoki jeszcze się sączącej albo już skrzepniętej w zakamarkach. Mięśnie błyszczały od wilgoci i krwi, wydzielając mdły, metaliczny zapach mieszający się z odorem ciepłego, parującego w wilgotnym powietrzu mięsa.

Podniósł się i wyprostował. Zrobił krok w tył, aby ocenić swoją pracę z dystansu. Leżała pod jego nogami, częściowo oparta

o drzewo. Przechyliła się trochę, głowa zsunęła się lekko w bok. Nie wyglądało to dobrze, ale nie szkodzi, zaradzi temu. Poprawił ją ostrożnie, ustawiając głowę centralnie. Tak lepiej. Sięgnął do plecaka. Z wewnętrznej kieszeni wyjął przygotowaną wcześniej perukę. Nie była jaką. Zrobił ją sam. Przez wiele nocy wizualizował ostateczny kształt swojego rękodziela. Teraz założył ją powoli, starannie, jakby zakładał koronę. Dobrze. Idealnie. Przez dłuższą chwilę patrzył na swoje dzieło z nieskrywaną fascynacją. Podobało mu się. Był z siebie dumny.

Zgasił czołówkę i ruszył w stronę szlaku. Odchodząc, nie obejrzał się ani razu. Wiedział, że zrobił, co trzeba. Czuł się spełniony. Za nim została tylko cisza lasu — chłodna, gęsta i nieruchoma jak świeżo zasypany grób.

Dochodziła trzecia, gdy stanął na ścieżce i się rozejrzał. Był sam.

W końcu wsiadł na swojego Polaris Rangera EV. Po ostatniej zimie postanowił zmienić wysłużonego quada na coś bardziej nowoczesnego. Oglądał ten model w salonie w Krośnie, był idealny, ale nietani. Kupił go pod koniec września. Trafił na ogłoszenie na Telegramie — krótka wiadomość, zdjęcie, lokalizacja: po stronie ukraińskiej, gdzie wojna zatarła granice nie tylko państw, ale i moralności. Handlarz mówił łamanym rosyjsko-ukraińskim. Pojazd był wojskowy, jeden z tych, które Stany Zjednoczone przekazały Ukrainie w ramach pomocy frontowej. Gdzieś po drodze zaginął w logistyce albo... znalazł nowego właściciela w cieniu. VIN? Spiłowany. Oznaczenia jednostki? Zamazane. Tablice rejestracyjne? Fałszywe. Formalnie pojazd nie istniał. Dostał go za gotówkę, bez nazwisk, bez historii. Przerzucony przez granicę nocą, na lawecie, przykryty zgniłą plandeką.

UTV był kompaktowy i niezawodny. Niezwykle cichy napęd elektryczny 4 × 4 o dużej mocy, spora ładowność, solidna konstrukcja i zawieszenie to tylko niektóre z jego zalet. Przetestował

go i okazało się, że radzi sobie z większością bieszczadzskich szlaków. Model w wersji leśnego kamuflażu. Podobał mu się efekt wtopienia w otoczenie.

5 października 2024 r.c

W sobotnie południe kamienica przy ulicy Pawła Włodkowica we Wrocławiu tętniła stłumionymi dźwiękami życia. Zza ścian dobiegały głosy sąsiadów, ktoś klócił się przez drzwi z kurierem. Ciemny chłodny korytarz przesiąkł starym drewnem, kurzem i resztką wilgoci, która zagnieździła się tu przez lata.

Ciężka walizka toczyła się po schodach, ciągnięta z wysiłkiem coraz niżej i niżej. Każdy krok kobiety odbijał się echem od ścian. Powinna była wstać wcześniej, ale w nocy męczył ją koszmar. Przebudziła się i długo nie mogła zasnąć, przez co potem przespała budzik.

Była czterdziestolatką, ale jej strój nie sugerował powagi wieku. Miała na sobie legginsy, czarną bluzę i lekką sportową kurtkę w tym samym kolorze. Prosto i wygodnie, tak lubiła najbardziej.

Zatrzymała się na półpiętrze, gdy zadzwieczał telefon. Wstęchnęła i zerknęła na wyświetlacz. Ciotka Zofia.

— Halo? — rzuciła krótko.

Luźny kosmyk blond włosów wymknął się spod gumki, a ona odruchowo założyła go za ucho, przyciskając mocniej komórkę ramieniem.

— No w końcu! Już myślałam, że się rozmyśliłaś! — powiedziała ciotka z wyraźną ulgą, jakby naprawdę miała obawy, że Stefa się nie pojawi.

— Spokojnie, jestem w drodze. Zmagam się z tą cholerną walizką, ledwo daję radę. — Oparła się biodrem o balustradę, łapiąc wreszcie oddech.

— Czyli zaraz ruszasz?

— Tak. Wrzucę bagaż do auta, podjadę zatankować, może coś zjem po drodze. Liczę, że dotrę koło osiemnastej.

— Dobrze, dobrze. Wszystko na spokojnie. Ważne, że w końcu jedziesz. Naprawdę dobrze ci to zrobi, Stefcu. Góry są ciche, tu nikt nie zadaje pytań. Zrobiłam twoje ulubione pierogi.

Stefa zamilkła na moment. Spojrzała przez wysokie okno półpiętra na ulicę poniżej. Promenada staromiejska tonęła w jesiennych kolorach. Jej wzrok przyciągnęła rodzina z małym dzieckiem. Chłopiec ubrany w granatową czapeczkę z przejęciem ścisnął pluszowego misia jak swój największy skarb. Matka z czułością poprawiała synkowi szalik, a ojciec czekał cierpliwie obok. Obrazek zwyczajnego szczęścia — takiego, jakiego sama nigdy nie miała okazji doświadczyć. Ta myśl napłynęła niespodziewanie, wywołując w niej znajome ukłucie dyskomfortu. Poroniła. Rozwiodła się. Straciła oboje rodziców w wypadku. Wszystko to sprawiło, że teraz patrzyła na tę przypadkową rodzinę jak na coś odległego, niemal nierealnego, jakby należącego do innego świata.

— Dzięki, że nalegałaś — powiedziała w końcu cicho.

— Zawsze nalegam, kiedy wiem, że trzeba. Wypoczniesz. Pogadamy. Zobaczysz, jeszcze polubisz swoją dziwną ciotkę.

Stefa się rozłączyła, ale stała jeszcze przez chwilę bez ruchu, pogrążona we wspomnieniach. Jej ostatnie dochodzenie zakończyło się niczym, brakiem odpowiedzi. nierozwiązane śledztwo, pełne luk i pustych śladów nie tylko okazało się porażką, ale zostawiło w niej coś ciężkiego. I znajomego. To echo traumy, która siedziała głębiej niż jakakolwiek sprawa. Jej własna przeszłość... Ostatnio coraz częściej wracała. Za głośno, zbyt wyraźnie. Ale w tej chwili po raz pierwszy od lat Stefa miała czas wolny. Potrzebowała go jak powietrza.

Wyszła z kamienicy, zatrzymując za sobą ciężkie drzwi. Samochód czekał tuż przy krawężniku, zroszony resztkami porannej wilgoci. Wrzuciła walizkę do bagażnika. Gdy wsiadła do środka, zauważyła panią Marię. Sąsiadka pomachała do niej z drugiej strony ulicy na pożegnanie. Wiedziała, że Stefa wyjeżdża na urlop, rozmawiały o tym podczas ostatniego spotkania przy herbacie.

Ruch był umiarkowany, jak to w sobotę o tej porze. Część miasta już się rozkręciła, część jeszcze leniwie ziewała. Taksówki przemykały między pieszymi, studenci wychodzili z akademików, dostawcy rozładowywali skrzynki pod restauracjami.

Stefa ruszyła autostradą A4 w kierunku Rzeszowa. Do Ustrzyk Dolnych miała jakieś sześć godzin jazdy z krótkim postojem na obiad. Za sobą zostawiała miasto, nierozwiązaną sprawę i wspomnienia, które nie chciały odejść. A czekały na nią góry, cisza i jedyna bliska osoba, jaka jej została. Silnik mruczał cicho, jakby wiedział, że nie warto budzić tego, co było. W aucie pachniało zamkniętą w termosie herbatą z rumianku, ciepłą i łagodną, w której ukryta była potrzeba spokoju.

Dobrze знаła tę trasę; prowadziła z Robertem kilka spraw na Śląsku. Na początku droga była banalna – sznury ciężarówek, kolejne stacje paliw, tereny przemysłowe, które ciągnęły się wzdłuż drogi. Ale gdzieś za Tarnowem świat się zmieniał. Otoczenie stawało się bardziej pagórkowate i zielone, z licznymi lasami i wzgórzami charakterystycznymi dla krajobrazu Podkarpacia. Świat wydawał się tu spokojniejszy i bardziej uporządkowany. Zdarzało się Stefie zastanawiać, jak wygląda życie ludzi mieszkających w takich miejscach.

Zatrzymała się na stacji benzynowej. Zatankowała, przetarła ręką zmęczone czoło i skierowała się w stronę kasy. Bez słowa zapłaciła za paliwo. Kasjer wyglądał na znudzonego i nawet nie próbował nawiązać rozmowy. Była mu za to wdzięczna. Nie

chciała odpowiadać na uprzejme pytania ani wymuszone żarty. Wróciła do samochodu. Zamiast jednak ruszyć dalej, przestała auto na miejsce parkingowe pod drzewem. Już po chwili z termosem w dłoni usiadła na ławce. Potrzebowała chwili odpoczynku. Napiła się herbaty, na szczęście wciąż ciepłej. Przyglądała się krążącym wokół ludziom, nie miała pojęcia, dokąd jechali ani skąd wracali. Każdy miał własne sprawy, własne problemy i własne sekrety. Pod tym względem stacje benzynowe zawsze wydawały jej się osobliwymi miejscami pełnymi przypadkowych osób przecinających na kilka minut swoje drogi, by później zniknąć bez śladu. Powietrze pachniało benzyną i mięsem smażonym w pobliskim barze. Stefa poczuła, jak jelita skręcają się jej z głodu, ale wiedziała, że to nienajlepsze miejsce na posiłek. Wytrzyma i zje u ciotki. Upiła jeszcze kilka łyków i wróciła za kierownicę.

Za Rzeszowem odbiła na trasę S19. Stąd miała widok na malownicze, choć jeszcze odległe pasma górskie. Wjeżdżała w Bieszczady. Droga wiła się serpentynami przez coraz gęstsze lasy, z których wyrastały cienie drzew przystrojonych już w jesienne szaty. Słońce powoli chowało się za wzgórzami, choć zmierzch jeszcze nie zapadał — dopiero się sączył, powoli i ciężko.

Ustrzyki Dolne powitały ją ciszą. Powietrze niesło zapach wilgotnych liści, mokrej ziemi i czegoś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać. Czegoś, co było bardziej zapowiedzią niż zapachem samym w sobie. Była tu pierwszy raz. Zawsze słyszała, że Bieszczady są dzikie i piękne. Ale to nie była uroda na widokówkę, lecz krajobraz, który patrzył ci w oczy bez choćby jednego mrugnienia, całkiem nieruchomo. Tutaj góry nie były tylko tłem. Były obecnością. Czuła i niepokojącą zarazem.

Samo miasteczko okazało się spokojne, jakby zgaszone. Jechała przez chwilę pod górę, aż zobaczyła pensjonat. Stary

budynek z drewna i kamienia. Weranda pamiętająca lepsze czasy. Okna z jasnymi zasłonami, przez które sączyło się ciepłe światło.

Zatrzymała auto i wysiadła. Kiedy podeszła do drzwi, te otworzyły się, zanim zdążyła zapukać. Stała w nich kobieta – jej ciotka. Ostatni raz Stefa widziała ją osiem lat temu na pogrzebie rodziców. Wtedy nie była gotowa ani słuchać, ani mówić. Nie wiedziała jeszcze, że kobieta w czarnej chustce na głowie zniknie z jej życia na tak długo. Nie wiedziała, że kupi ona tu dom, stary pensjonat w gęszy. I że przez te wszystkie lata będą milczeć – obie – aż do ostatniego telefonu.

Ciotka Zofia była najwyraźniej zaprzyjaźniona z upływającym czasem. Jej siwe włosy nieprzykryte sztucznym kolorem spływały swobodnie jak srebrzysta zasłona, dodając kobiecie autentyczności i siły. Liczyła ponad sześćdziesiąt lat, ale jej postura nie zdradzała nawet odrobiny zmęczenia. Oczy łagodne, ale wciąż przenikliwe, miały w sobie głębię i spokój, a jednocześnie tajemnicę.

Stefa uśmiechnęła się nieśmiało. Przejechała setki kilometrów, była głodna i wyczerpana.

Drzwi uchyliły się szerzej.

– Wejdz, dziecko.

Głos ciotki był miękki, ciepły, ale i lekko powściągliwy, jakby każde słowo dokładnie ważyła. Obróciła się, a szeroka, kolorowa suknia zafalowała wokół jej nóg. Gdy kobieta szła, przypominała postać z zaczarowanego świata, wyglądała jakby unosiła się nad podłogą.

– Na pewno jesteś głodna. Zrobiłam pierogi z kaszą gryczaną i bryndzą.

Stefa skinęła głową i weszła głębiej do domu. Kuchnia, serce starej chaty, była niewielka, z drewnianymi belkami pociemniałymi

od czasu i dymu oraz z wiekowym piecem kaflowym, który trwał w rogu niczym strażnik przeszłości.

Usiadły razem przy stole. Obie starały się przełamać ciszę, ale słowa były jak kruche mosty, które trudno odbudować.

— Jedz, póki ciepłe. — Głos ciotki był spokojny, ale coś w jej spojrzeniu zdradzało napięcie.

Stefa sięgnęła po widelec.

— Zawsze dobrze gotowałaś...

Zofia uśmiechnęła się ledwie zauważalnie.

— Niektóre rzeczy zostają w rękach, nawet jeśli serce już nie pamięta.

Zapadła krótka cisza.

— Myślałam, że już się nie odezwiesz — podjęła cicho Stefa, bez pretensji.

Zofia wzruszyła ramionami.

— Myślałam, że tego nie potrzebujesz.

— Może tak było. — Stefa spojrzała w ciemne już okno, w którym odbijały się dwie twarze.

Starsza z kobiet naląła herbaty. Delikatna woń rumianku rozlała się po kuchni. Pamiętała, co siostrzenica lubi, a ta przez kilka minut jadła w milczeniu.

— Po prostu musiałam odpocząć — szepnęła w końcu Stefa, bardziej do siebie niż do Zofii, która po chwili spojrzała na nią uważnie i spokojnie powiedziała:

— Odpoczynek rzadko przychodzi sam. Czasem trzeba go sobie wywalczyć.

Stefa odłożyła widelec. Nagle poczuła, że więcej nie zmieści. Nie była jeszcze gotowa na tę rozmowę, potrzebowała więcej czasu. Przeprosiła i powoli wstała.

— To dopiero początek, dziecko. — Ciotka patrzyła na nią długo i przenikliwie, jakby próbowała odczytać coś z jej twarzy.

— Dzięki za kolację. Pójdę po bagaż i położę się — odparła młodsza kobieta tonem, który miał zakończyć rozmowę, zanim ta naprawdę się zaczęła.

A potem wyszła z domu.

Na zewnątrz powitał ją orzeźwiający chłód. Przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w ciemność lasu, który jak czarna ściana otaczał budynek pensjonatu. Zdawał się żyć, oddychać i strzec tutejszych tajemnic. W sąsiednim domu, kilkaset metrów dalej, zgasły już wszystkie światła. Okolica pogryzła się w głębokiej nocy.

Stefa podniosła wzrok ku niebu. Gwiazdy migotały zimnym, obcym blaskiem, który zdawał się przenikać mrok. Pomyślała, że nie będzie tak łatwo, jak zakładała. Ale mimo to — próbowała się przekonać — warto tu być. Wierzyła, że będzie dobrze.

Nagle przeszył ją dreszcz. Miała wrażenie, że jest obserwowana. Może to ciotka stała w oknie, czujna, uważna? Obróciła się gwałtownie i spojrzała w stronę pensjonatu. Nie zobaczyła jednak nikogo. Drzewa zaszumiały cicho na wietrze. A może to las na nią patrzył? Wzdrygnęła się i skierowała w stronę werandy.

Pokój, który przygotowała dla niej Zofia, mieścił się na piętrze. Pachniał drewnem i mydłem marsylskim. Uwielbiała ten zapach — świeży, czysty, niemal nieskazitelny. Gdy tylko położyła się na łóżku, zmęczenie sięgnęło po nią z całym ciężarem dnia, a może nawet lat. Zamknęła oczy, a ciemność otuliła ją niczym miękkiej płaszczyzny. Cisza domu trwała nieprzerwanie, jakby czekała na to, co dopiero ma nadejść.

6 października 2024 r.

Stefa obudziła się raptownie, miała wrażenie, że coś wyrwało ją ze snu. Przez kilka sekund nie wiedziała, gdzie jest. Pokój był obcy, a jednak miał w sobie coś przyjemnie znajomego. Jasne ściany, proste, sosnowe meble – skromnie, ale przytulnie. Mrugnęła kilka razy i powoli odzyskiwała orientację.

Po chwili wszystko sobie przypomniła: długa podróż, znużenie, twarz ciotki – starsza, bardziej pomarszczona niż w jej wspomnieniach. Kiedy zobaczyła kobietę po raz pierwszy po tak długim czasie, poczuła coś, czego się nie spodziewała. Uświadomiła sobie, ile lat minęło i jak wiele rzeczy zdążyło się zmienić. Zerknęła na zegarek. Dochodziła siódma. Leżała jeszcze chwilę, wsłuchując się w ciszę. Nie była to jednak zwykła cisza, jaką znała z miejskiego mieszkania. Ta była cięższa. Miała w sobie głębię. Jakby las wokół wstrzymał oddech. W mieście nawet nocą coś nieustannie żyło. Samochody przejeżdżające ulicą, szczekające psy, rozmowy sąsiadów, odgłosy instalacji. Człowiek przyzwyczajał się do tego szumu tak bardzo, że przestawał go zauważać. Tutaj było inaczej.

Wstała i podeszła do okna. Chwyciła zasłony – grube, w kwiatowy deseń, jak na sielskich zdjęciach wiejskich domów. Rozsunęła je leniwie. Za szybą mgła wpelzała pomiędzy drzewa niczym cichy intruz. Las był nieruchomy, jakby zamrożony w kadrze. Krople rosy wisały na gałęziach, słońce jeszcze nie przebiło się przez wilgotny kokon poranka. Ziewnęła przeciągle. Zdziwiła się, jak

dobrze spała. Bez przebudzeń, bez koszmarów. Zdawało się, że Bieszczady ze swym surowym powietrzem pozwoliły jej na chwilę zostawić wszystko za sobą. Zwykle budziła się bardziej zmęczona niż wtedy, gdy kładła się spać. Od miesięcy, a może nawet od lat, sen nie dawał jej prawdziwego odpoczynku. Koszmary wracały regularnie, czasem pod różnymi postaciami, ale zawsze pozostawiały po sobie ten sam ciężar.

Łazienka przy pokoju była urządzona z taką samą prostotą co reszta pensjonatu. Stefa ograniczyła się do szybkiej toalety. Nie potrzebowała wiele. Spięta włosy w niedbały koński ogon, jak robiła to setki razy wcześniej. Przemyła twarz chłodną wodą, która momentalnie rozbudziła jej zmysły. Wyszczotkowała zęby. Spojrzała na swoje odbicie w niewielkim, lekko zmatowiałym lustrze nad umywalką. Jej twarz pozbawiona makijażu, z delikatnymi cieniami pod oczami, była spokojna, bez napięcia, które zazwyczaj rysowało się wokół ust. Tutaj każda, nawet banalna czynność wydawała się pozbawiona pośpiechu i miejskiej bezmyślności.

Wróciła do pokoju i powoli wypakowała zawartość walizki do szafy. Następnie włożyła ciepły beżowy dres, swój ulubiony. Poczuła ulgę, jakby w końcu zdjęła zbroję, którą nosiła przez ostatnich kilka miesięcy. Wyszła na korytarz; podłoga zaskrzypiała pod jej stopami — stary dom żył własnym życiem. Była przekonana, że takie budynki z duszą posiadają własną pamięć, gromadzą sekrety ludzi, którzy przez lata przewijali się między ich murami. Już na schodach poczuła intensywny aromat smażonej cebuli. Wzdrygnęła się odruchowo. Nie lubiła mocnych zapachów, takich zostających na ubraniu i we włosach. Miała nawet własną teorię na ten temat. Uważała, że zapachy potrafią przyklejać się do ludzi równie skutecznie jak wspomnienia.

Dom był cichy. Zbyt cichy. Jakby w pokojach przeznaczonych dla gości nikt nie spał. Wczoraj wieczorem nie słyszała ani jednego głosu, żadnych kroków, trzaskania drzwiami. Tylko ona i ciotka.

Zajrzała do kuchni. Zofia stała przy blacie — w fartuchu, z wysoko upiętymi włosami i uśmiechem, który był ostrożny, choć niewymuszony. Kobieta, dobra, z tajemnicą pod skórą.

— Dzień dobry — przywitała się Stefa cicho, niemal przepraszająco.

— Witaj, kochanie. Dobrze spałaś?

— Bardzo dobrze — przyznała, siadając przy stole. — Zaskakująco.

— Nie wiedziałam, czy wolisz śniadanie na słono, czy raczej na słodko — powiedziała Zofia jakby do siebie, krojąc jeszcze ciepły chleb.

Stół był nakryty białym haftowanym obrusem. Na środku parowała herbata. Nie taka z torebki, ale prawdziwa, liściasta, parzona w dzbanku z grubego szkła, z dodatkiem solidnego plastra cytryny. Obok jajecznica z wiejskich jaj na cebulce i masło. Była też konfitura z malin, które ciotka uprawiała w przydomowym ogrodzie.

— Głodna? — dodała, już jednoznacznie kierując pytanie do siostrzenicy.

— Ogromnie. — Stefa od razu sięgnęła po kromkę. — Rzadko mi się to zdarza ostatnio.

— Cieszę się. Tutaj inaczej się oddycha. Inaczej się je. Inaczej się myśli.

Przez chwilę obie jadły w milczeniu. Zofia pierwsza przerwała ciszę.

— Cieszę się, że przyjechałaś. Tak dawno się nie widziałyśmy... — powiedziała łagodnie, nie podnosząc wzroku znad filiżanki.

Stefa utkwiała spojrzenie w talerzu, jakby próbowała znaleźć tam coś, czego nie potrafiła wypowiedzieć.

— Wiesz, przez jakiś czas myślałam, że... może nie chcesz mnie widzieć — odparła w końcu.

— To nieprawda — przerwała jej ciotka cicho, ale stanowczo. — Czasem ludzie milczą, bo nie wiedzą, co powiedzieć. Albo boją się, że powiedzą za dużo.

Znowu zapadła cisza. Tym razem jednak inna. Gęsta. Pełna. Zasnuła kuchnię niczym mgła.

— Myślałam... że wszyscy mnie obwiniają. Ja sama wciąż się obwiniam. Za to, co się stało. Za wypadek — wyszeptwała Stefa. Chyba dopiero teraz pozwoliła sobie na te słowa.

Ciotka sięgnęła po jej rękę ostrożnie, z wyczuciem. Miękką dłoń starszej kobiety otoczyła palce siostrzenicy.

— Nieważne, co mówią ludzie. Ja nigdy tak o tobie nie myślałam. I ty też tak o sobie nie myśl. Jesteś jedyną bliską osobą, która mi została.

Stefa poczuła, jak coś w niej pęka. Może jeszcze nie do końca, ale pojawiła się wyraźna rysa. Z trudem przełknęła ślinę, oczy jej się zaszklily.

— Dziękuję — powiedziała cicho. — Nie wiedziałam, czy dobrze robię, przyjeżdżając tutaj.

— To była najlepsza decyzja, jaką mogłaś podjąć — powiedziała Zofia z przekonaniem. — Czekałam na ciebie.

I znowu milczenie. Tym razem spokojne. Dobre.

— Opowiesz mi, co się u ciebie działo przez te wszystkie lata? — zapytała po chwili. W jej głosie brzmiało wahanie, ale też nadzieja.

Stefa zamarła. Twarz miała nieruchomą, jakby nagle oblał ją zimny cień.

— Nic dobrego — odparła. Jej głos był pusty, wyprany z emocji. — Straciłam dziecko... jeszcze zanim przyszło na świat. Potem

się rozwiodłam. Nie byliśmy w stanie już ze sobą żyć... Nie chcę do tego wracać.

Sięgnęła po herbatę, upiła łyk i z głośnym stuknięciem odsta-
wiła filiżankę na spodek. Dźwięk zadrżał w powietrzu jak echo
wspomnień, których nie chciała wpuścić do tej kuchni.

Ciotka skinęła głową. Nie dopytywała.

— Dobrze, że jesteś — powiedziała jedynie, może tymi słowa-
mi próbowała zakłąć coś delikatnego, co właśnie nawiązywało
się między nimi na nowo.

Tym razem Stefa wbiła spojrzenie w las za oknem. Mgła gęst-
niała, jakby chciała ukryć coś więcej niż tylko drzewa.

— Pójdę się przejść — powiedziała i wstała od stołu.

Zofia także się podniosła. Podeszła do stojącej w przedpokoju ko-
mody, wyjęła coś z górnej szuflady i wyciągnęła rękę do siostrzenicy.

— Tutaj są klucze od domu. Ja też wychodzę, muszę zrobić
zakupy.

Podąga Stefie pęk; metalowe breloki zadźwięczały delikatnie.
Już miała się odwrócić, gdy nagle zamarła w miejscu. Jej wzrok
na moment zawisł gdzieś ponad ramieniem siostrzenicy. Był pu-
sty, zdawało się, że patrzyła nie na nią, ale przez nią.

— Uważaj na siebie — dodała cicho, prawie szeptem.

Stefa zmarszczyła brwi, ale o nic nie zapytała. Wrzuciła klu-
cze do kieszeni, założyła buty, kurtkę i wyszła, mając wrażenie,
że coś — może spojrzenie ciotki, może to jedno zdanie — zostaje
za nią w progu. I że to coś nie daje jej spokoju.

*

Wokół rozciągał się widok ciężki od mgły, która powoli wspi-
nała się z dolin na pagórki. Powietrze było chłodne, przesyco-
ne mokrym zapachem świeżej ziemi. Kilkaśmet metrów dalej, za
pensjonatem stała jeszcze jedna, mniejsza chata — dom sąsiadki.

Stefa przechodziła właśnie obok skulona, w kurtce przeciwdeszczowej. Nie dlatego, że było jej aż tak zimno. Po prostu odruchowo chowała się przed wilgocią. Nie lubiła uczucia mokrego materiału przy skórze. Drażniło ją to bardziej niż większość ludzi. Pies za ogrodzeniem ujadął wściekle, ewidentnie nie lubił obcych. Zamiast iść w kierunku miasteczka, skrzyła za domem i weszła w zagajnik. Nie chciała nikogo spotkać, nie chciała, żeby ją zagadywano. W pracy nieustannie musiała wysłuchiwać cudzych historii. Teraz nie miała na to ochoty.

Otulający ją chłodem las był gęsty, wilgotny i surowy. Potężne świerki i sosny stały jak strażnicy, a ich gałęzie przesłaniały niebo z ciężkimi i nisko wiszącymi chmurami. Powietrze było rześkie, każdy oddech oczyszczał myśli. Zdała sobie sprawę, że właśnie tego brakowało jej od wielu miesięcy. Zawsze lepiej czuła się w miejscach, gdzie nie było tłumów.

Szła szybkim krokiem, niemal marszobiegiem. Szum drzew mieszał się z jej oddechem i biciem serca, które stopniowo uspokajało się pod wpływem rytmu lasu. Myśli, jeszcze rano nieprzeniknione, powoli zaczynały się klarować. Любиła jesień, jej nostalgiczny, melancholijny nastrój. Nigdy nie rozumiała ludzi, którzy narzekali na deszcz, mgły i krótkie dni. Jej zdaniem jesień była najbardziej uczciwą porą roku. Nie udawała radości. Nie próbowała nikogo zachwycać.

Po godzinie marszu zaczęła czuć zmęczenie i zdecydowała, że czas wracać. Nie знаła dobrze tych terenów i nie chciała się zgubić. Postanowiła, że zacznie regularnie uprawiać trekking po okolicznych szlakach albo będzie jeździć rowerem górskim. Widziała takie profesjonalne u ciotki pod wiatą, przyszykowane dla turystów. Może pobierze jakąś aplikację z mapą topograficzną na telefon. Następnym razem weźmie też słuchawki. Muzyka pomagała jej się zrelaksować, choć las sam w sobie też pięknie gra.

Nagle kilkanaście metrów przed nią jak spod ziemi wyrosła postać. Stefa zatrzymała się gwałtownie, a serce na moment jej zamarło.

— Kurwa — zaklęła przez zaciśnięte zęby.

Położywszy dłoń na klatce piersiowej, próbowała uspokoić oddech. Wdech. Wydech. Zimne powietrze paliło ją w gardle.

Mężczyzna stał jak cień, który nagle nabrał kształtu. Postawny, choć trochę nieporadny w ruchach. Jego twarz zdradzała prostotę i niemal dziecięcą naiwność, która zderzała się z niepokojącą atmosferą tego miejsca. Mógł mieć około dwudziestu lat. Jego oczy były szeroko otwarte, zagubione. W wyblakłych za dużych ubraniach wyglądał niechlujnie.

Stefa zacisnęła palce na telefonie, ale jeszcze nie wyjęła go z kieszeni. Ruszyła w kierunku człowieka wolnym, kontrolowanym krokiem.

— Ej, ty! — rzuciła, starając się, by jej głos brzmiał twardo, pewnie.

Wiedziała, że strach jest jak krew w wodzie, szybko przyciąga drapieżniki.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie poruszył się też nawet o centymetr.

Kiedy się do niego zbliżyła, poczuła lodowaty dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Coś było nie tak. Znacznie bardziej nie tak, niż mogłaby się spodziewać. On... się masturbował. Na środku leśnej ścieżki. Wpatrzony prosto w nią, bez nawet odrobiny zawstydenia. Jakby to, co robił, było naturalne. Normalne.

Puls gwałtownie jej skoczył, adrenalina załała ciało. Poczuła, jak każdy nerw zaczyna się w niej napinać, bezwiednie włączył się instynkt policjantki. Zatrzymała się i rozejrzała wokół. Szybka ocena sytuacji, zagrożenia, dystansu. Nikogo w pobliżu. Cisza. Tylko szum wiatru wśród nagich gałęzi i przytłaczająca wilgoć

unosząca się nad ściółką. Postanowiła zachować bezpieczną odległość. Nie miała przy sobie broni i nie znała zamiarów mężczyzny, mógł zareagować agresją. Na razie cały czas ją obserwował i się onanizował.

Ponownie sięgnęła do kieszeni. Chciała wyjąć telefon i nagrać go, mieć dowód. W pracy nauczyła się, że brak materiału potrafi całkowicie zmienić bieg sprawy. Sama siebie łapała na tym, że ufa faktom bardziej niż własnej pamięci. Nie zdążyła. W tym momencie chłopak jakby się ocknął. Spłoszony gwałtownie zerwał się do biegu. Zniknął między drzewami z zaskakującą zwinnością. Miała wrażenie, że nawet nie patrzył, gdzie stawia stopy, po prostu uciekł, kierowany czystym instynktem. Stefa podbiegła, ale nikogo już nie dostrzegła. Przez moment nie była pewna, czy on naprawdę tam był. Jakby rozpląnął się we mgle niczym duch. Jakby las go wchłonął albo ukrył przed nią celowo.

Ruszyła z powrotem, tym razem szybciej, cały czas mając wrażenie, że coś albo ktoś za nią idzie. Spoglądała przez ramię co kilka kroków. Las wydawał się nagle zbyt cichy, jakby wstrzymał oddech razem z nią. Po półgodzinie wyszła w końcu na znajomy teren, była pod pensjonatem. Dopiero wtedy poczuła, że napięcie w jej ciele odrobinę puszcza. Wsiadła do samochodu i wyjechała na główną drogę.

W kilka minut dotarła do celu. Za otwartą bramą rozciągał się niewielki parking przeznaczony głównie dla radiowozów, choć stało tam też kilka nieoznakowanych cywilnych aut. Stefa zaparkowała i udała się do komendy. To nie był nowoczesny budynek z metalu i szkła, lecz bardziej prowincjonalna jednostka. Czas zatrzymał się tu kilka dekad wcześniej i nie miał specjalnej motywacji, by iść dalej.

Wewnątrz panowała cisza. Stefa podeszła do okienka dyżurności. W niewielkim pomieszczeniu siedział młody oficer dyżurny.

— Dzień dobry, nazywam się Stefa Zarzycka i chciałabym zgłosić nieobyčajny występ.

— Dzień dobry, starszy aspirant Maciej Dębski — przedstawił się. — Na początek poproszę o dowód osobisty lub inny dokument tożsamości. Jak rozumiem, zgłoszenie będzie oficjalne?

— Tak — potwierdziła i podała mu dowód.

Policjant zaczął spisywać dane, a ona mimowolnie rozejrzała się po pomieszczeniu. Tablica korkowa z notatkami i mapą powiatu, stare biurko, równo poukładane dokumenty — wszystko wydawało się uporządkowane, niemal statyczne. To miejsce miało w sobie rutynę i przewidywalność, jakby nic nadzwyczajnego tu się nie działo. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej zgłoszenie było pewnie jednym z poważniejszych wykroczeń, z jakimi miał do czynienia ten posterunek.

— Jakiego rodzaju to incydent? — zapytał w końcu oficer.

— Dopuszczenie się czynności autoerotycznych w miejscu publicznym.

— Autoerotycznych? — zdziwił się formalnym językiem, jakim posługiwała się kobieta.

— Po prostu się masturbował — wyjaśniła Stefa i dla pewności dodała: — Walił konia.

— Rozumiem — odparł lekko zmieszany. — Gdzie to miało miejsce?

— Na leśnym szlaku, za wsią Jasień.

— Jasień nie jest już osobną wsią graniczącą z Ustrzykami Dolnymi, lecz stanowi część miasta — poprawił ją. — Może pani podać dokładniejszą lokalizację?

— Chodzi o ścieżkę za Pensjonatem „Zacisze Jasień”.

— Znam to miejsce. To ogólnodostępny szlak, często uczęszczany przez turystów. Kiedy to było?

— Jakąś godzinę temu.

— Czyli... — dyżurny spojrział na zegarek — dziewiąta. Jak wyglądał ten człowiek?

— Mężczyzna, jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, postawny, ponad metr osiemdziesiąt. Ubrany w granatową or-talionową kurtkę, za dużą, wypłowiałą. Z charakterystyczną grafiką żółtego wilka na piersi. Włosy miał kasztanowe, krótkie i w nieładzie.

— Nie jest pani stąd, więc pewnie go pani nie rozpoznała?

— Nie. Wyglądał dziwnie, w mojej ocenie mógł to być ktoś z niepełnosprawnością intelektualną.

— Czy ktoś jeszcze to widział?

— Nie.

— Czy mężczyzna próbował nawiązać z panią kontakt? Pod-szedł? Mówił coś?

— Nie. Nie zareagował też, gdy ja się do niego zwróciłam.

— Jakimi słowami?

— Zawołałam: „Ej, ty!” Spłoszył się dopiero w momencie, gdy próbowałam wyjąć z kieszeni telefon komórkowy. Chciałam go nagrać, mieć dowód.

— W którym kierunku uciekł?

— W głąb lasu. Poruszał się dziwnie, tak jakby się kołysał, choć biegł szybko i pewnie.

— Dobrze. Ostatnie pytanie: Czy czuje się pani zagrożona?

— Teraz nie — odpowiedziała stanowczo. — Ale ktoś inny mógłby — dodała po chwili.

— Rozumiem. — W pomieszczeniu rozległ się dźwięk drukarki. Po chwili oficer podał Stefie kartkę i długopis. — Proszę zapoznać się z treścią protokołu przyjęcia zawiadomienia o popełnieniu wykroczenia. Jeżeli zgadza się pani z jego treścią, proszę podpisać.

— Dziękuję. — Stefa złożyła podpis i zwróciła dokument aspi-rantowi.

— Zgłoszenie trafi do dzielnicowego, który poprowadzi czynności zmierzające do ustalenia tożsamości mężczyzny. Nie jest pani stroną postępowania w sensie formalnym, ale ma pani prawo zapytać o efekt zgłoszenia.

— Tak, wiem. Do widzenia.

Stefa wróciła do pensjonatu sporo po dwunastej. Ciotki jeszcze nie było. Wzięła szybki prysznic. Chciała zmyć z siebie nie tylko pot po porannym biegu, ale też wspomnienie chłopaka z lasu, które wciąż powracało. Zgłosiła to. Zrobiła, co należało. Nie będzie o tym wspominać ciotce, bo ta od razu zaczęłaby się martwić, może bać, może snuć czarne scenariusze.

Włożyła czyste dresy i wełniane skarpety. W domu było cicho, tylko zegar nad drzwiami kuchni tykał miarowo, jakby przypominał, że czas nigdy się nie zatrzymuje, nawet tam, gdzie nic się nie dzieje.

Zrobiła sobie herbatę z imbirem i suszoną skórką pomarańczy; lubiła ten lekko ostry smak. Z parującym kubkiem wyszła na taras. Uderzyło ją zimne powietrze. Było wczesne popołudnie, a chłód coraz śmielej wślizgiwał się pod warstwy ubrań. Usiadła w wiklinowym fotelu i upiła łyk naparu. Imbir i miód przyjemnie szczypały w język, rozgrzewały od środka. Poczuła, że napięcie w żołądku na chwilę słabnie, ale nie znika całkowicie. Jakby ciało nie do końca wierzyło, że może sobie pozwolić na wytchnienie. Rozejrzała się wokół. Ogród był lekko zaniedbany, ławka pod starą jabłonią chyliła się ku ziemi. Zofia miała już swoje lata, a prowadziła to miejsce sama. Pewnie nie na wszystko starczało jej sił, a prowadzenie tego miejsca w pojedynkę nie mogło być łatwe.

Stefa wzdrygnęła się pod wpływem nagłego podmuchu wiatru. Chwyciła przewieszony przez oparcie fotela kardigan ciotki — zmechacony, poszarzały, ale ciepły — i owinęła się nim szczelnie. Starła się zrelaksować. Nie myśleć o tym, co wydarzyło się rano.

Wyrzucić z głowy wspomnienie tamtego chłopaka. Skupiła wzrok na majaczących w oddali górach przykrytych mleczną mgłą, jakby zgaszonych, kojących. Zanurzyła się w surowym pięknie Bieszczad, chłonęła je wzrokiem. Nie chciała niczego analizować, tylko po prostu być.

Z zamyślenia wyrwał ją warkot silnika samochodu. Ciotka wróciła z zakupów i zaparkowała przy werandzie. Rozległo się głuche trzaśnięcie drzwiczek, a potem szelest siatek.

— Jak tam przebieżka? — zapytała, z uśmiechem wchodząc na podest.

— W porządku — odpowiedziała Stefa. — Las piękny.

— Nie za zimno?

— Da się wytrzymać.

Dopiła herbatę i podążyła za ciotką do domu. W kuchni Zofia odstawiła zakupy na blat i zaczęła je rozpakowywać, kątem oka zerkając na siostrzenicę.

— Zrobię grzybową, będzie na dwa dni. Zjesz?

— Jasne. — Stefa odstawiła kubek do zlewu. — Pomóc ci?

— A potrafisz?

— Nie bardzo.

Obie się zaśmiały.

Przez resztę dnia krzątały się po domu. Stefa przeglądała książki na półkach ciotki. Były tu głównie romanse i stare przewodniki, ale też pozółkłe czasopisma. Przez chwilę nawet próbowała coś czytać, ale nie potrafiła się skupić, słowa rozmywały się jak mgła za oknem. Jej myśli uparcie wracały do sprawy, której nie udało jej się rozwiązać. Do kartki z groźbą znalezionej przed wyjazdem ze Wschowy. Do chłopaka z lasu...Nigdzie nie potrafiła być naprawdę.

7 października 2024 r.

Wczesnym rankiem Stefa wyszła pobiegać. Nie dlatego, że nagle poczuła przypływ energii czy entuzjazmu wobec górskich krajobrazów. Raczej dlatego, że wiedziała, iż jeśli nie rozładuje napięcia w ruchu, będzie ono narastać przez resztę dnia. Tak działało jej ciało – domagało się wysiłku, gdy umysł był przeciążony. Wybrała tę samą trasę co wczoraj, ale dziś była lepiej przygotowana. W telefonie miała zainstalowaną aplikację z topografią terenu pozwalającą śledzić każdy krok, każdą ścieżkę, każde odstępstwo od zaplanowanej trasy. Zabrała też broń. Nie z powodu strachu, ale dlatego, że po wczorajszym incydencie nie łudziła się już, że Bieszczady to tylko lasy, mgła i jelenie na rykowisku.

Tym razem jednak nie wydarzyło się nic szczególnego. Żadnych dziwnych dźwięków, żadnych podejrzanych ludzi w krzakach. Tylko chłód, wilgoć i poranna rosa.

Po powrocie wzięła prysznic. Tym razem dłuższy, spokojniejszy. Pozwoliła, żeby ciepła woda rozluźniła mięśnie. Potem usiadła z ciotką do śniadania. Prowadziły kurtuazyjną rozmowę o niczym. O pogodzie, o tym, że chleb w lokalnej piekarni podrożał, o dzi kim kocie, który znowu nasikał im na schody. Tego typu tematy nie wymagały zaangażowania emocjonalnego i właśnie dlatego były wygodne. Stefa miała wrażenie, że obie to rozumiały, choć żadna z nich nie musiała tego mówić wprost.

Po śniadaniu zamknęła się w swoim pokoju na piętrze. Usiadła na łóżku i wyjęła telefon. Aplikacja działała bez zarzutu,

zaznaczała punkty, zapisywała trasy, oznaczała różnice wysokości. Kobieta patrzyła na te dane z rosnącym zainteresowaniem, bo dawały jej poczucie kontroli nad przestrzenią, która wczoraj wydawała się nieprzewidywalna. Przez kilka minut bawiła się funkcją planowania, odhaczając leśne dukty i zarośnięte szlaki. Rozłożyła mapę Bieszczad i zaczęła porównywać ją z danymi z aplikacji.

Czas szybko mijał. Dochodziła czternasta, gdy Stefa odłożyła telefon i wyszła na taras. Usiadła w fotelu otulona kocem. Deszcz sączył się z nieba równym, spokojnym rytmem, jakby nie mógł się zdecydować, czy chce padać. Mimo pogody Zofia pracowała w ogrodzie. Coś przekładała, przykrywała, sprzątała, zupełnie jakby jesień była tylko kolejną porą roku do ujarzżenia. Kiedy dojrzała siostrzenicę, przerwała pracę i dosiadła się do niej. Krótką chwilę ciszy tym razem pierwsza przerwała młodsza z nich.

— Co się u ciebie działo przez te wszystkie lata? — zapytała.

Ciotka uniosła brwi zaskoczona, ale chyba też zadowolona. Dawno nikt jej o to nie pytał.

— Och, wiesz... Pensjonat to całe moje życie. Latem jest tu istny galimatias: dzieci, rowery, awarie w łazienkach, narzekanie, że za dużo komarów albo że niedźwiedzi nie ma pod oknem. Zimą robi się ciszej. Byłam sama przez większość czasu. Tylko Stefan czasem przychodził.

— Stefan? — dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

— Sama nie znaczy samotna — rzuciła ciotka z dumą. — Ale Stefana już nie ma. Umarł dwa lata temu. Zawał.

— Przykro mi.

Zofia wzruszyła ramionami, po czym pacnęła dłońmi w kolana i podniosła się, jakby nagle o czymś sobie przypomniała.

— Nie ma o czym mówić — ucieła i spojrzała na zegarek. — Dochodzi szesnasta. Trzeba się przebrać i naszykować kolację.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

